

ELIZA

ORZESZKOWA

DZIURDZIOWIE

Eliza Orzeszkowa

Dziurdziowie

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Dziurdziowie / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Jedna z najbardziej pesymistycznych i przerażających w wymowie powieści Elizy Orzeszkowej. Pasjonująca fabuła i narastające napięcie przywodzą na myśl współczesne najlepsze kryminały. Oto Pietrusia, uboga sierota opiekująca się niewidomą babką, odrzuca zaloty majątnego Stefana Dziurdzi. Pożądanie mężczyzny zamienia się w obsesję. Tymczasem po sześciu latach rozłąki powraca z wojskowej służby Michałko — jedyna miłość dziewczyny. Życie tych dwojga, w szczęściu i zgodzie, wydaje się nie mieć końca. Stefan zaczyna pałać żądzą zemsty. Skoro nie może zdobyć Pietrusi, postanawia ją zniszczyć. Zabobonność i ciemnota chłopów stają się jego sprzymierzeńcami. Akcja nieuchronnie zmierza ku tragedii.

© Orzeszkowa E.

© Public Domain

Содержание

Wstęp	5
I	8
II	18
Конец ознакомительного фрагмента.	28

Eliza Orzeszkowa

Dziurdziowie

Wstęp

W ogromnej, wysokiej sali, aparat sądowy roztoczył całą wspaniałość swą i grozę. Był to zimowy wieczór. Zwisające od sufitu żyrandole i lampy, gorejące u ścian białych i gładkich, potoki światła lały na szkarłatne opony okien i stołów, na pstroczinę twarzy i ubrań tłumnie zgromadzonej dziś publiczności. W głębi zasiadali członkowie sądu, z boku, pod jedną ze ścian, na dwu wysokich i ozdobnych ławach, miejsca swe już zajęli przysięgli. U jednego z okien oskarżyciel publiczny, schylony nad obficie oświetlonym stołem, wczytywał się pilnie w rozwartą księgę praw, przy drugim sekretarz sądu, przerzucał stopy papierów. Urzędnik przeznaczony do strzeżenia porządku, w ubraniu zdobnym w złote hafty, szybkim i cichym krokiem przebiegłszy salę, z piórem w ręku usiadł na stronie. Wśród wielkiej ciszy, niezmaconej nawet powstrzymanymi na chwilę oddechami kilkuset piersi, przewodniczący sądowi, głośno i wyraźnie obwieścił zbrodnią, o którą podsądni oskarżonymi zostali. Nie było to przestępstwo, ale była to zbrodnia, straszna zbrodnia, jedna z tych która niekiedy, jak sny złośliwe i ponure przesuwają się przed udręczonymi oczyma ludzkości. Kim byli, do jakiej społecznej warstwy należeli, jak wyglądali ci nieszczęśliwi i okropni ludzie, którzy ją popełnili? Kilkaset oczu, jednomyślnie zwróciło się ku ławie obwinionych.

Naprzeciw wysokich i ozdobnych siedzeń sędziów przysięgłych, obrońca z urzędu, zamyślony, niespokojny, nerwowym ruchem ręki, ołówkiem kreślił na kawałku papieru jakieś luźne notatki. Tuż za nim, nad wysoką poręczą ławy, podniosły się i w pełnym świetle stanęły, cztery męskie postacie w więziennych długich szarych ubraniach. Przed chwilą weszli tu oni przez niskie drzwi, z-za których ukazało się całkiem prawie ciemne wnętrze, bocznej jakiejś sieni. Zdawać się mogło, że wychodzili z otchłani. Niskie drzwi zamknęły się wnet za czterema uzbrojonymi żołnierzami, którzy, stanawszy z obu stron ławy, zanurzyli sterczące nad ich głowami bagnety, w olśniewającym świetle lamp. Pomiedzy lśnjącymi ostrzami bagnetów, twarzą w twarz z sędziami swoimi, w potokach światła, uwytatniających każdy rys i każdą niemal zmarszczkę ich twarzy, czterej podsądni, stojąc w nieruchomych i oczekujących postawach, odpowiadali na zwracane ku nim pytania przewodniczącego.

Nazwiska ich?

Cztery męskie głosy dość wyraźnie, głośno, odpowiedziały z kolei.

– Piotr Dziurdzia.

– Stefan Dziurdzia.

– Szymon Dziurdzia.

– Klemens Dziurdzia.

Stan ich?

Chłopi, rolnicy i posiadacze ziemi. Ostatni tylko ziemi własnej jeszcze nie miał, ale był synem i dziedzicem pierwszego, Piotra Dziurdzi, który nie tylko że ją posiadał, ale przed laty kilku piastował w swój wiosce ważny w społecznym życiu chłopów, urząd starosty.

Teraz, pytanie najciekawsze.

Czy przyznają się do popełnienia zbrodni, o którą obwinionymi zostali.

Znowu cztery głosy, z kolei, ciszej lub donośniej lecz zawsze wyraźnie odpowiedziały.

– Przyznają się.

Przyznają się. Niema więc już wątpliwości, że popełnili tę zbrodnią. Nie nędzarze, nie włóczęgi, nie członkowie proletariatu, żyjącego w trującej atmosferze palących zawiści i podstępnych łupów, ale rolnicy, którym wiatry Boże niosą rzeźwość i zdrowie... posiadacze, którym ziemia własna

rodzi bujne kłosa... pracownicy, których uznojone czoła, równać się mogą w powadze i czystości czołom uwieńczonym wawrzynem... Co to znaczy? Czy urodzili się już potworami? Czy, kiedy jeszcze w kolebkach byli, geniusz zbrodni napoił ich swym oddechem? Czy nie mieli serca, ani sumienia, ani w piersiach swych żadnej z tych strun dobroci, litości, prawości, które z wiekowym mozołem ludzkość wypracowała w swém łonie? Byliż to może szaleńcy, idyoci, głupcy, którzy dobrego od złego odróżnić nie mogli?

Rzecz dziwna! Daremnie kilkaset par ludzkich oczu zatapiało się w ich twarzach, zgodności pomiędzy nimi a tém, co popełnili, dostrzedz nie było podobna. Nie wyglądali na tych, którzy już na świat ze sobą przynieśli zadatki zbrodniczych przeznaczeń, ani na szaleńców, ani na idyotów.

Pierwszy z nich, ten, który nazywał się Piotrem Dziurdzią, był wysokim, dość szczupłym i już nie młodym, ale jeszcze krzepkim i silnym człowiekiem. Włosy miał bardzo gęste, ciemnopłowe siwizną przysypane i tak długie, że spadały mu aż na kołnierz więziennój opończy. W oprawie tych długich, siwiejących włosów i krótko ostrzyżonego zarostu, twarz jego bladawa nieco, łagodnością i powagą wyrazu swego, pociągające sprawiała wrażenie. Policzki jego, w więzieniu może wychudłe, zakreślały prawidłowy i łagodny owal, usta pod płowym wąsem drżały trochę, na wązkim czole ciemniało kilka głębokich zmarszczek a siwe, zamyślane oczy, z pod brwi wypukłych i gęstych, wodziły dokoła powolnym, poważnym i bardzo smutnym wejrzeniem. W chwili gdy stanął w ławie obwinionych, można było dostrzedz zaledwie widzialny ruch ręki, którym na piersiach swych skreślił znak krzyża, a gdy już odpowiedział na wszystkie zadane mu pytania, splecione ręce złożył na poręczy ławy i oczy wznosił w górę. Wówczas w twarzy jego zjawilo się coś marzycielskiego, coś, co zdradzało wewnętrzną, pokorną, w głębinach duszy szeptaną modlitwę. Wkrótce jednak powieki przykryły mu rozmodlone źrenice, grzbiet przygiął się, głowa na pierś opadła i tak już ze splecionymi rękoma, poważny, łagodny, bardzo smutny pozostał.

Zupełnie niepodobnym do Piotra, był stryjeczny brat jego Stefan. Wysoki także ale barczysty i bardzo wyprostowany, brunet z czarnymi jak noc włosami i czarnym bujnym wąsem byłby on pysznym okazem silnego, kształtnego i pięknego chłopca, gdyby nie szczególne i uderzające, przedwczesne zesterzenie twarzy. Nie miał jeszcze lat czterdziestu a ściągłe i prawidłowe rysy jego były tak zorane, zmięte, pomarszczone, że niepodobna-by na nich znaleźć najmniejszego gładkiego miejsca. Przytém, mogło się zdawać, że wielki jakiś ogień opalał twarz tę tak długo, aż powlekł ją ciemną, prawie brązową cerą. Widocznym téż było, że nie nędza fizyczna uczyniła ją taką, lecz, że zmięły ją i spaliły w ten sposób gwałtowne namiętności i srogie zgryzoty. Była to twarz ponura i zrozpaczona, śmiała i roztropna. Czarne oczy Stefana, posepnie lecz roztropnie i nawet bystro spoglądały wprost przed siebie; w postawie i ruchach jego malowała się energia, której zbytek musiał znajdować sobie ujście w nieposkromionj, gwałtownej popędliwości.

Trzecim i zupełnie różnym od tamtych typem chłopskim był Szymon Dziurdzia. Nizki, chudy, z wełnistym splątany włos, który mu czoło całkiem prawie zakrywał z otwartymi nieco ustami i nosem małym, bombiastym, u czoła wklęsłym, był to człowieczek niemłody, brzydki, gapiowaty, bardzo widocznym nadużyciem alkoholu ogłupiony i prawie zezwierzęcony. Pijackie oczy jego, z blado błękitną źrenicą, pływały w chorobliwej wilgoci; czasem grubym i ciemnym palcem ocierał sobie łzę z powiek i bezmyślnym ruchem rozmazywał ją po chudym i żółtym policzku. W ruchach, postawie i spojrzeniach jego malowało się przerażenie, z rozżaleniem połączone. Strwożony, rozżalony, ogłupiały, niewiedziały, co począć z rękoma, które splatał, to wzdłuż ciała opuszczał, ust przytém ani na chwilę zupełnie nie zamykając.

Najmłodszym ze wszystkich, bardzo jeszcze młodym bo dwadzieścia dwa lata zaledwie mającym, był Klemens, syn byłego starosty, Piotra Dziurdzi. Urodziwy, jasnowłosy ten parobek, z okrągłą, rumianą twarzą i błękitnymi jak niebo oczyma, wydawał się makiem polnym, bujnie wśród pola wyrosłym i tu w tę ciżbę ludzką, w tę atmosferę przenikniętą światłem sztucznym i grozą ważących się przeznaczeń, gwałtownie przesadzonym. Panującym uczuciem, które malowało się na młodzieńczej i jak zorza świeżej jego twarzy – był wstyd. Kiedy po raz pierwszy zwróciły się ku

niemu spójrzenia tłumu, ognisty rumieniec buchnął mu do policzków i czoła. Zarumienił się znowu, wymawiając wyraz przyznając się! i rumienił się potem za każdym razem, gdy w ciągu rozpraw sądowych imię jego wymawiano. Czasem zamyślał się i daleko, daleko kędyś patrzył. Wtedy, do oczu jego nabiegały łzy. Czasem znowu, młoda ciekawość przewyciężała w nim wszelkie inne uczucia. Wtedy, z pod powiek, nieśmiało ale chciwie przypatrywał się wszystkiemu, co go otaczało, a o czym pod strzechą swoją, ani nawet śnił kiedy, Boże mój! tak tu jasno, jak gdyby niebiosy otworzyły się i wszystkie swe blaski na ziemię wylały; tak tu ludno, jak gdyby zbiegło się pół świata, takie tu piękne ubiory, jak gdyby odbyć się miał wielki jakiś i wesoły festyn. A on tu co? zbrodniarz, którego sądzić mają. Jak osądzą? Bóg że to jeden wie. Za temi ścianami wiatry boże wieją, ku jego wiosce rodzinnej lecą, ku tej chacie lecą, gdzie stara matka z załamanymi rękoma została, ku temu polu lecą, które on orał już od lat paru, kiedy słońko świeciło jasno, zioła pachniały, serce biło równo, cicho, wesoło, nie tak jak teraz, gdy kołace w piersi ze wstydu i trwogi, niby na pogrzebie bijący dzwon...

Więc to ci czterej ludzie popełnili tę zbrodnię przerażającą i ponurą, jak sen zimowej, burzliwej nocy? Była to też wtedy zimowa, burzliwa noc... Ależ dla czego? jakim sposobem? pod wpływem jakich pokus i poszeptów?

Z zeznań świadczących, z rozpraw sądowych, ze starannie wywoływanych później, a pilnie słuchanych gawęd ludzkich, ze zwierzeń, które podsądni czynili przed swym obrońcą, od początku do końca swego, odsłoniła się przed tymi, którzy ją poznać zapragnęli, historia następująca.

I

W Suchej Dolinie zapanował ruch umysłów widoczny i stopnia wzburzenia dosięgający. O co tak bardzo szło mieszkańcom tej wioski, długim szeregiem czterdziestu może chat i ogrodów, dość malowniczo rozciągniętej, pośród pól zlekka falujących i zdobiących je osinowych i brzozowych gajów? Większość chat miała pozór dostatni; były wprawdzie pomiędzy niemi niziuchne, ubożuchne i nadpróchniałe, ale nie brakło i takich, które świeciły białymi kominami, sporemi oknami i porządnymi ganeczkami, opartymi na słupkach i zaopatrzonymi w wązkie ławeczki do siedzenia. Te pola, falujące i gajami zwieńczone, miały pozór żyzności i niezłej uprawy, za niemi zieleniło się trochę łąk i dobrych pastwisk, w ogrodach, gęste konopie stały gotowe do zdjęcia, okwitłe kartofle wyglądały obiecująco, bujne głowy kapusty dojrzywały, gęsto sadzone wiśniowe drzewa dawać musiały obfite plony owoców. Nędza więc zaglądała tu chyba kiedy niekiedy i tylko do najuboższych chat. Najdostatniejsze wyglądały tak, jak gdyby w nich nietylko chleba, ale nawet mleka i miodu a może i groszy nie brakło. Jakież więc niepokój wstrząsał w ten piękny wieczór letni mieszkańcami tej wioski? O czém gromada bab, przed jednym z najdostatniej wyglądających domowstw zebrana, gwarzyła tak żywo, że aż dokoła niej, zebrała się gromada dzieci starszych i młodszych. Dziewczynki od lat siedmiu do czternastu, w sinych spódniczkach i szarych koszulach, bose, z głowami ukrytymi w czerwonych chusteczkach, z pod których wymykały się kosmyki jasnopłowych włosów, stanęły pod płotem długim szeregiem i, splótszy na spodniczkach małe, ciemne jak ziemia ręce, szeroko pootwierały oczy, napełnione wyrazem ciekawości, a w których błękitnych lub piwnych źrenicach, zachodzące słońce rozżażało ruchome iskry. Przypatrywały się i przysłuchiwały babom, a baby gadały, gestykulowały, krzyczały. Chłopcy lat różnych stali za babami, nie tak przecież nieruchomo jak dziewczęta, które umieściły się pod płotem. Bosi także, jasnowłosi, w szare płótno odziani, wciskali się oni pomiędzy matki i ciotki, podnosili ku twarzom kobiet twarze swe opalone, śmiałe i wesołe, które wykrzywiali w sposób najrozmaitszy, swawolnie przedrzeźniając gadatliwość i zażartość babską. Starsi targali kobiety za fartuchy i natarczywie wtrącali się do rozmowy, jeden z młodszych pięcioletni może, w długiej do stóp koszuli, z wypukłym brzuchem i opuchłymi żółtymi policzkami, trzymał wciąż palce w oślinionych ustach i bezmyślnymi błękitnymi źrenicami patrzył nieruchomo w twarz swojej matki, a płaczącym, przeciągłym głosem od chwili do chwili wołał: Ta... ta!

Na wązkim dziedzińcu chaty, pod którą tłoczyły się baby i dzieci, panował także gwar pewien, ale znacznie mniejszy, bo podnosiła go gromadka mężczyzn mniej i ciszej od niewiast mówiących. Jeden z nich, u wrót stajenki przykleknawszy, siekierą rozszczepiał kłoc drzewa na drobne drewnianka, a tak bardzo pogrążonym był w tej robocie, jak gdyby spełniał jakąś uroczystą i arcyważną czynność. Z pochyloną głową i zgiętymi plecami, chłop ten niemłody już i szczupły, ale jeszcze silny i czerstwy, był to jeden z najzamożniejszych i najroztropniejszych gospodarzy Suchej Doliny, właściciel tej chaty, a zwał się Piotr Dziurdzia. Tuż za nim stali dwaj synowie jego, młodzi, lecz już dorośli parobcy, dalej stryjeczny brat Piotra, ale wcale do niego niepodobny, Stefan, w wymowie chłopów Stepan Dziurdzia, przypatrywał się jego robocie z ponurym wyrazem na przedwcześnie zestarzałej, zmiętej i jakby spalonej twarzy; dalej jeszcze stał także Dziurdzia imieniem Szymon, mizernie i smutnie wyglądający, a za każdym odetchnięciem wydający z siebie mocny zapach wódki. Wódka to zapewne zaprawiła mu białka oczu krwistą barwą, wysuszyła i zażółciła policzki, ona też może była przyczyną, że miał podartą koszulę i stopy bose, gdy inni przyodziani byli w porządne samodziłowe kapoty i grube ale dostatnie aż do kolan sięgające obuwie. Oprócz tych pięciu Dziurdziów, było tam jeszcze kilkunastu chłopów starszych i młodszych, więcej i mniej ożywionych, którzy jednak wszyscy zdawali się być mocno zajętymi tém, co czynił Piotr Dziurdzia, spoglądali na siebie z uśmiechami na ustach, i wyrazem żywej ciekawości w oczach, wzruszali czasem ramionami i rzucali pojedyncze słowa lub wykrzyki. A przed wrotami dziedzińca baby gadały wciąż, krzyczały, gestykulowały; ta i owa z

ferworu wielkiego aż przysiadła czasem ku ziemi, albo rękoma uderzała o policzki i plecy sąsiadek, które, odwracając się, śpiesznie ją odpychały i dalej swoje prawić zaczynały, aż do utraty tchu, aż do podniesienia głosów ku najwyższemu i najprzeróżliwsiemu dźwiękowi ludzkiej krtani. Takim to właśnie głosem jedna z nich, ku dziedzincowi chaty zwracając się, zawołała:

– Pietruk! hej Pietruk! skończysz ty kiedy czy nie? A to słońce zajdzie i psy nie ludzie po polach chodzić będą!

– Pora **idźci** (iść) dalibóg pora! – chórem powtórzyło kilka piskliwych kobiecych głosów.

Inne dodały.

– Czy wam nie wstyd, Pietruk, tak marudzić? Oj! **muszczyzna** (mężczyzna), niby to silny! A baba prędj-by tych trzasek naszczepiła jak on... gospodarz wielki!

Piotr Dziurdzia wykrzykników tych ku niemu zwróconych, jakby nie słyszał, ani głowy podniósł, ani ustami poruszył. Rozszczepiał wciąż i odszczepiał polana na cienkie drewnienka z taką powagą i uroczystością, iż zdawać się mogło, że tuż, tuż przeżegna się i robotę swą przeżegna, tak była dlań ona ważną i niemal świętą. Dwaj w pobliżu niego stojący chłopci, jednocześnie stryjecznego brata jego, Stepana Dziurdzie, zapytali:

– Niéma! no i ani troszeczkę niéma?

Zmarszczony, zgryziony Stepan odpowiedział:

– Tak jak nic niéma! Kropelkę z siebie puści i żeby ją zabić więcej już nie da! Dziecku, jak rozkrzyczy się, niéma czego w gębę wlać...

– A-a-a-a-a! – głośno i przeciągle dziwili się pytający.

– A wprzódy jak było? – zapytał ktoś z boku.

– Wprzódy – odpowiedział chłop – bywało i więcej jak garniec dadzą...

– Dwie?

– A dwie.

– To tak jak i u mnie! – Zauważył mizerny Szymon, jedna tylko, a bywało z garniec da...

Chłopci trącili się łokciami i wejrzeniami, ukazali sobie wzajem ponurą twarz Stepana.

Przytém ozwał się żartobliwy głos jakiś:

– Oj! biedaż tobie, Stepanie! Toż to tam teraz u ciebie piekło gorące...

Inny z grubym śmiechem dodał;

– Jaż wczoraj słyszał jak **taja** (ta) wrzeszczała w swojej chacie jak **oczyniona** (opętana)...

– Kto? – zapytał ktoś z boku.

– A Rozalka Stepanowa żonka...

– Oj zła baba, to zła... jak ogień... – dodał jeden z rozmawiających.

Stefan niżej jeszcze pochylił głowę i milczał.

Z-za wrót doleciał jeszcze znowu ten sam co wprzódy głos niewieści, tylko jeszcze piskliwszy i więcej rozgniewany niż wprzódy:

– Pietruk! oj Pietruk! skończysz ty kiedy, czy nie?

Kilku z pomiędzy mężczyzn zaśmiało się chórem.

– Ot jak Stepanowa żonka **hołasić**, pilno jój wiedźmę łapać! Hej Pietruk, **chutko** (prędko) **idzi!** bo baba jak po swojemu rozgniewa się, to bieda będzie... już ty jój nie poradzisz... wybije!...

Piotr Dziurdzia siekierę oddał jednemu z synów, aby ją do chaty zaniósł, a sam z kłeczek powstawał, nie dlatego zapewne, aby przeląkł się gniewu Stepanowej żonki, ale dlatego, że już robotę swoją ukończył. Pod ścianą stajenki leżał duży stos cienkich, suchych, do zapalenia wybornych drewnienek. Pochylił się, ujął ten stos w ramiona i wyszedł z nim za bramę chaty. Tu powitał go chóralny okrzyk bab i otoczył rój dzieci. Dziewczynki poodrywały się od płota i podchodziły do niego zwolna, chłopcy, jak źrebięta skakali dokoła niego, wierząc i wrzeszcząc.

– Won! poszli – krzyknął Dziurdzia na dzieci, które też rozbiegały się na wsze strony, ale w pobliżu stanawszy, przypatrywały się wciąż niesionemu przezeń drzewu, jakby to był przedmiot po raz pierwszy w życiu przez nie widziany. Jedna z bab, ta, która właśnie rej pomiędzy wszystkimi

innemi wiodła, wysoka, chuda, śniada, z czarném palącym okiem, Rozalka, Stefanowa żona, wyskakując naprzód i rękoma za biodra swe chwytając, z niezmiernym zapałem do Piotra zawołała:

– A osinowe drzewo!

– Nu, a jakież? – pogardliwie odrzucił poważny chłop.

– Czy pewno osinowe?

I zaczęła dalej prędko i z zawziętością trzepać językiem.

– Bo jeżeli nie osinowe, to nic z tego nie będzie... wiedźma nie przyjdzie na inne drzewo, tylko na osinowe..! **Prysiahnij** Pietruk, że osinowego drzewa rąbał, **prysiahnij**, tutże zaraz palce na krzyż złóż i **prysiahnij**, że osinowe...

Tracąc dech od szybkiego mówienia, targała rękaw i poły samodziłowej kapoty Piotra, a obu łokciami odtrącała od siebie towarzyszkę, które chwytając ją za ramiona i koszulę, zapalczywość jej powściągać próbowały. Spróbował uczynić to i Stepan. Ciemne oczy jego zaiskrzyły się; ściśniętą pięścią uderzył żonę w plecy tak silnie, że zatoczyła się o kroków kilka i była-by upadła, gdyby nie płot, o który oparła się ręką. Wnet przecież, szybka jak błyskawica, zwinna jak wiewiórka przyskoczyła do męża, wycięła mu głośny policzek i w najmniejszym stopniu nie zajmując się nim dalej, biegła znowu za Piotrem, drogę mu zabiegając i wciąż na różne tony powtarzając.

– A osinowe drzewo? Pewno osinowe?... **Prysiahnij** Pietruk, że osinowe...

W gromadzie, postępującej za Piotrem, wybuchnęły grube i piskliwe śmiechy. Stepan szedł ze zwieszoną głową, milcząc jak grób. Do policzka, który od otrzymanego uderzenia nabiegł krwistą czerwonością, ani się dotknął, ale ciemna i gruba skóra jego twarzy zfałdowała się w takie już mnóstwo zmarszczek, że niepodobna-by wynaleźć na niej najmniejszego gładkiego miejsca. Roziskrzzone oczy wlepił w ziemię i przez zaciśnięte zęby wyrzucił krótkie, niewyraźne przekleństwo. Wstydział się może i wrzał cały.

– **Wstydnno!** – rzekła głośno niemłoda i widocznie schorowana, ale jeszcze urodziwa żona Piotra Dziurdzi, najdostatniej ze wszystkich kobiet ubrana i najmniej krzycząca. – Ja z moim wiek przeżyłam, synów pochodowałam, że wyrosli jak te dęby, a nigdy pomiędzy nami swarów i bitwy nie było, dalibóg nie było.

– Wstydnno! – powtórzyło kilka głosów, a jeden z chłopów, na Stepana wskazując, z uśmiechem dodał:

– **Takij** z niego **mużyk**? Babie przywozić pozwala! ja by ją...

Nad tym gwarem słów i śmiechów, wzbił się znowu głos Rozalki, ale tak już tym razem ostry i rozpaczliwy, jakby jej nóż do gardła przykładano.

– A osinowe drzewo? pewno osinowe? **prysiahnij** Pietruk, że osinowe...

Stary, niski chudy chłop, ktorego zwano Jakóbem Szyszka, wystąpił z gromady, zbliżył się do kobiety, którą wątpliwość co do gatunku narąbanego drzewa w rodzaj wściekłości wprawiała i z powagą przemówił:

– Nie **durys**, Rozalka! Jaż tam był i widział, że drzewo jest osinowe... Toż i u mnie nieszczęście... i ja chcę tej wiedźmie przeklętej w oczy zajrzeć... czy ja by zgodził się, żeby drzewo insze było jak osinowe?...

Rozalkę słowa te jakby zimną wodą oblały, umilkła i, cofnąwszy się nieco od Piotra, śpiesznym i nierównym krokiem, zwykłym istotom gwałtownym i niespokojnym, na czele innych niewiast postępowała. Zresztą, w miarę trwania pochodu, gromada malała. Na dziedzińcach chat, które mijano, porykiwały krowy, tylko co z pastwiska przygnane, drżącym, jęklwym głosem odzywały się owce, niewyprężone pługi i brony stały tak, jak je właściciele ich, pośpiechem i ciekawością snadź pobudzani, opuścili. Tu i owdzie, ktoś pozostały w chacie rozniecił ognisko, a wijące się za małemi oknami złote jego blaski, na wieczere zapraszając, głód przypominały. Mężczyźni tedy i kobiety, odłączali się od gromady i za opłotkami dziedzińców, albo we wnętrzach domowstw znikali. Przedtém jednak, zbijając się na krótką chwilę w małe gromadki, zamieniali się urywanemi, a całą myśl ich mającemi streścić wyrażeniami.

– **Komedia!** – Wzruszając ramionami mówili jedni.
– Niech **tuju kamedyu** lichu porwie! – sierzdiście odpowiadały kobiety. – **Heto** bieda jest, **zhryzota, utrata** wielka a nie **kamedya**...

– Ciekawość! nu ciekawość, kto **heta** wiedźma!

– Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie?

Ostatnie to pytanie zawisło na ustach wszystkich; głosy różne mężkie, kobiece i dziecięce, stare i młode, powtarzały je w chatach, oborach, stajenkach, na dziedzińcach i u studzien, u których dziewczęta przy skrzypie żórawi, wodę czerpały.

– Przyjdzie ona na ogień, czy nie przyjdzie? – Najstarsi odpowiadali.

– Czemu przyjść nie ma! Za **dzidów, pra dzidów** naszych przychodziła, to i teraz przyjść musi...

Tymczasem, Piotr Dziurdzia, szedł wciąż naprzód krokiem powolnym i miarowym. Wychodząc z dziedzińca swojej chaty, włożył był na swe gęste, siwiejące, długie włosy, starą czapkę, zniszczoném futrem baraniém oszytą. W długiej kapocie z płótna na czerwony kolor zafarbowanego, w wysokich butach, w tej czapce, której strzepy zwisały mu nad gęstemi brwiami, z grubą więzią drzewa w ramionach, miał pozór kapłana niby, gotującego się do spełnienia uroczystego i publiczne sprawy na celu mającego obrzędu. Wyraz twarzy jego ściąglęj, krótkim zarostém otoczonej, nie był wcale ponurym, ani rozgniewanym, tylko głęboko zamyślonym, prawie uroczystym. Milczał jak grób, patrzył wprost przed siebie siwemi oczyma, w których malowała się pokora, jakby prośba wewnętrznie do kogoś zanoszona. Można by przypuścić, że w głębi duszy swój odmawiał on w tej chwili żarliwe pacierze. Tuż za nim, szli dwaj jego synowie, rośli, jasnowłosi, z otwartymi i wesołymi twarzami parobcy; dalej, nisko chyląc głowę, ciężkim krokiem postępował Stepan, obok którego włókł się w obdartém odzieniu swém i z pijacką twarzą Szymon Dziurdzia i bardzo poważnie stapał stary, niski, siwy Jakób Szyszko. Z kobiet, pozostały tylko żony trzech Dziurdziów i jakaś hoża dziewczyna, z wesołą miną, wciąż na młodego Klemensa Dziurdzię zerkająca i na niej kończył się już ten pochód. Dzieci wszystkie, tak dziewczynki jak chłopcy, chciały bardzo przyłączyć się do orszaku, ale je odpędzono i jeden ów tylko czteroletni chłopczyna w koszuli, z wydętym brzuchem i nabrzmałymi policzkami odpędzić się nie dał. W kilka kroków za idącymi, prędko, prędko, swemi małymi, bosemi stopkami dreptał on po czarnych nierównościach i bruzdach wiejskiej ulicy i od czasu do czasu płaczliwie, przeciągle wołał: – Ta, to! Ludzie jednak składający pochód, na to dziecięce wołanie żadnej nie zwracali uwagi. Tu i owdzie gołębie zrywały się z dachów i ze słodkim gruchaniem ulatywały w powietrze na srebrzystych, albo różowych skrzydłach; pyszne, jaskrawo opierzone koguty, spłoszone tententem licznych kroków, ciężko podlatywały z ziemi i siadały na płotach; przez wrota pootwierane, wybiegały żółte, czarne i pstre kundły, a poznawszy swoich ciekawie tylko lub obojętnie na przechodzących spoglądały. Tam, het, za wioską, polami i gajami, słońce już wnet zająć miało, bo ostatnie jego światła rzucały na ściany chat i twarze ludzkie, nietrwałe, różowe łuny. Rubinowo zaognione przed chwilą szyby okien blade i gasły, natomiast coraz gęściej złościł je blask roznieconych ognisk. Dymy nad kominami wprzódy rumiane i srebrne, szarzały; ryk bydła, beczenie owiec, stuki otwieranych i zamykanych wrót, cichły i milkły.

Za wioską, polami i gajami, ciemne gęste chmury półkołem objęły zachodni skraj nieba; słońce przejmowało jeszcze ich głębie fioletem i purpurą, ale było już niewidzialném. W pobliżu ostatnich lecz jaskrawych blasków jego blade i prawie liliowe, ciemniejsze potem i w środku swym aż prawie szafirowe sklepienie, wznosiło się nad ziemią, bardzo powoli okrywaną mrokiem tak przezroczystym, że odbijały się w nim wyraźnie żółte barwy ściernisk i więdnących łąk, szara zieloność gajów i piaszczysta białość dróg przerzynających pola. Mniej niż o wiorstę od ostatnich domowstw wioski, cztery drogi rozbiegały się z jednego punktu, w kierunki różne. Jedna z nich prowadziła do wioski, druga, falując, wraz z falującym gruntem przepadała kędyś z niedoścignioną dla oka oddali, trzecia prosta i gładka, końcem długiej swjej taśmy znikająca w głębiach najbliższego gaju; czwarta, najkrótsza, tu i owdzie wierzbami i dzikimi bzami osadzona, kończyła się u płotu otaczającego chatę, w

pewniej odległości od wioski zbudowaną, samotną ocienioną kilku starymi drzewami. W pobliżu tej chaty widać było budowę niewielką, niską, bez okien, w której od razu każdy świadomy spraw wiejskich rozpoznał by kuźnię. Były to więc drogi rozstajne. W miejscu, z którego rozchodziły się one, w różne strony świata, z gęstego szlaku zieloności otaczającego pole, wystrzeliwał stary, wysoki krzyż. Naprzeciw krzyża, rozdzielony z nim wązkim szlakiem drogi, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia, Piotr Dziurdzia stanął i, ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczem wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spojrzął i z kieszeni kapoty hupkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało też pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi. Zbili się oni wszyscy w ściśniętą gromadkę, wzrok w ręce jego wlepili i zdawali się oddech w piersi wstrzymywać. Widocznie zapominali o wszystkim, co nie było tą szczególną czynnością, dla której tu przybyli. Stefanowa silnie zacisnęła swe wązkie usta, żona Piotra i jeden z jego synów, przeciwnie, rozwarli je tak szeroko, że małe jakie ptaszę wygodnie wlecieć by w nie mogło; Jakób Szyszko wyprostował się i tak uroczystą przybrał postawę, że wydawał się daleko wyższym niż zazwyczaj; wnuczka jego, hoża ta dziewczyna; która w czasie pochodu wciąż na Klemensa Dziurdię zerkiała, teraz ze zmieszaniem ciekawości i przerażenia na twarzy, ukryła się za plecy ładnego parobka, przygarnęła się cała do niego i brodę swą na ramieniu mu położyła. Ładny parobek najmniej z pomiędzy wszystkich obecnych zajęty odbywającym się aktem, wybornie spostrzegł to zbliżenie się doń dziewczyny, uśmiechnął się nieznacznie, w pół z przyjemnością, w pół z urąganiem. Zdawało się, że i hożej France i temu, co się przed oczyma jego działo i dziać miało, trochę urągał. W tém, Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewniek, buchnęła ogniem. Cztery kobiety, jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły. – O Jezu!

Dla czego ogień tak bardzo przeląkł je, czy wzruszył? Wszak z blaskiem i gorącem jego oswajały się one od pierwszego dnia istnień swoich i od rana do wieczora każdego dnia! Tym razem przecież, wyglądały tak, jak gdyby były nigdy w życiu swém ognia nie widziały. Wszystkie cztery wrzasnęły zrazu. – O Jezu! A potem Stefanowa zawiodła dalej jeszcze. – O Jezu mój, Jezu najmiłosierniejszy! Piotrowa wzdychała głośno i raz po raz, Szymonowa głowę w obie strony kołysała i także wzdychała, Franka zaś, w obie garście pochwycawszy ramię Klemensa, tak mocno je ścisnęła, że parobek łokciem rzucił i wzgardliwie ją oburknął – **Otczepiś!** Czego do mnie przykleiła się... jak ten kleszcz! Kleszczem nazwana dziewczka nie odczepiała się jednak i, przyklejając się do pleców parobka jeszcze mocniej, w same ucho półgłosem mu jęczała. – Oj Klemens, Klemens! oj, oj, Klemens! – Mężczyźni milczeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i, oddechy w piersi powstrzymując, czekały. Czekali wszyscy. Na co? Na skutek ognia, który żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nisko przy ziemi, potem płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżej.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasała całkiem i tylko jeszcze wypływająca z za niej biała złota łuna rozświecała widnokrąg. Kędyś za wzgórzem zaturkotały koła wozu i w dali umilkły; od wioski dochodziły poszczekiwanie psów i głuchy szmer ludzkiego mrowia; na żadnej z dróg w cztery strony rozchodzących się od krzyża, żywego ducha widać nie było, tylko u końca jednej z nich drzwi kuźni, rozpały się czerwono i ozwało się kilka uderzeń młota, które w najbliższym gaju echo powtórzyło głośno i przeciągle. Ale potem, przez długie kilka minut, nie odezwał się już i młot kowalski; w niskich wierzbach za to, rosnących przy drodze, która do kuźni wiodła, parę razy płaczliwie zaskomlił lelak. W gromadce ludzkiej, tłoczącej się u ognia, przy omszałym kamieniu i naprzeciw krzyża roznieconego, męzki, świeży głos, głośno i wyraźnie wymówił:

– Albo to prawda?

Wszyscy, nawet poważny i skupiony w sobie Piotr Dziurdzia, obejrzeni się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

– Co takiego? co takiego? co ty gadasz? – zaterkotała Stefanowa.

– Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie? – z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem znowu zajęczała

– Oj, Klemens, Klemens! – Ale siwy, chudy, niski Jakób Szyszko uroczystym głosem rzekł:

– Za **dzidów pradzidów** naszych przychodziła, to czemuż-by i teraz nie miała przyjść?

– Ale! – powtórzył chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniej trochę śmiało niż przedtém zauważył:

– Może jój ze wszystkiém na świecie niéma?

– Kogo? – wrzasnęła Stefanowa.

– A wiedźmy... – wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

O! tym razem, przeciw tak zupełnie już krańcowym wątpliwościom, wybuchnęła burza. Stefanowa porwała się obu rękoma za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

– Wiedźmy niéma? – krzyknęła – a dla czego mleko u krów przepadło? ha? dla czego przepadło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, to spytajcie się rodzonej matki, czy nie przepadło?... I u Szymona spytajcie się i u Jakóba i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeczki nie ma... dziecka w gębę wlać czego nie ma... a on mówi, że wiedźmy niéma... Oj doło moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, **haratyku** taki, że niech Pan Bóg broni...

W ten potok słów i krzyków niewieścich, Klemens wlać zdołał jeszcze słów kilka, więcej, zda się dla drwiny i na przekór babie niż z przekonania wymówionych.

– Wiadomo! susza taka, że niech pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi, sam celebrujący w tym uroczystym akcie Piotr Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął.

– **Hodzi**, Klemens, kiedy nasze **dzidy, pradzidy** w **heto** wierzyli, musić **heto prauda**. Nie **breszy** (szczekaj) darmo i czekaj. Może cud Bozki okaże się okazać się nam niegodnym, a **taja**, co nam **takuju kryudu** zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którym powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Przemówieniu temu odpowiedziało kilka głośnych westchnień, nad którymi wzbil się jęśliwy, donośny, zapalczywy głos Stefanowej:

– A osinowe drzewo? pewno osinowe?

Ale Jakób Szyszko uciszył niespokojną kobietę porywczym giestem, i znowu w gromadce i dokoła niej zapanowała cisza. W niskich wierzbach przy drodze załkał lelak, o kilka kroków za stojącymi nad ogniem ludźmi, dziecięcy, słaby, zmęczony głos, zapłakał: – Ta-to! Nikt na ten biedny, mały głos nie zwrócił uwagi, oprócz ponurego Stefana, który obejrzał się, kilka kroków postąpił i z głuchém, swarliwém sarkaniem podniósł z ziemi malca w koszuli, z wydętym brzuchem, nabrzmiałymi policzkami, palcem pograżonym w ustach i błękitnymi oczyma, pełnymi łez. Był to syn jego i Rozalki, jedyny. Ze swarliwém sarkaniem Stefan podniósł go z ziemi, ale wnet ściśle ramionami otoczył, do piersi przycisnął i bosc stopy jego mokre od wieczornej rosy, połą kapoty swojej osłonił. Dziecko blade i obrzękłe, głowę na ramiona ojca pochyliło i wnet oczy przymknęło. O! widocznie potrzebowało ono, niezmiernie potrzebowało tego, dobrego, słodkiego mleka, które krowom jego rodziców odebrała złośliwa wiedźma!

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni znowu odzywa się stuk młota; echo powtarza je w najbliższym gaju; w ciszy powietrza ogień pali się zwolna, lecz coraz wyżej. Piotr rzucił węń jeszcze sporą więź drzewa (Stefanowa ma okropną ochotę zawołać znowu: czy osinowe drzewo? czy pewno osinowe? lecz lęka się trochę Piotra i starego Szyszki, więc milczy i tylko niecierpliwie obu rękoma fartuch swój targa), płomień buchnął wysoko, a blaski jego padły na stojący naprzeciw krzyż i mnóstwem złotych węży wiły się po nim coraz wyżej, aż ku rozpiętym jego ramionom... Ujrawszy krzyż nagle w złocie stojący, wszyscy obecni bez wyjątku pochylili głowy i przeżegnali się powoli, nabożnie...

W tej chwili, za paru wzgórzami, na drodze, która, falując po wzgórzach, przepadała w dalekich przestworzach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłośnie śpiewanie. Po uciszonych przestrzeniach, po pustych polach, po drzemiącym świecie, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecy był, silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłosne słowa pieśni.

– Czerez reczeńku, czerez bystruju,
Podaj ruczeńku, podaj miłuju;
Czerez bałoto, czerez zródeńko,
Chadzi do mienie, moje serdeńko.

Na twarzach gromadki, stojącej przed ogniem i naprzeciw złożonego krzyża, odmalowały się zmieszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nadewszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek, Klemens, szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

– Idzie! **uże** idzie! – Szepnęły kobiety.

Franka, ze strachu przed wiedźmą, na ziemi przysiadła, z całej siły przytém trzymając się obu rękoma kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka, zbliżając się coraz, śpiewała dalej:

– Hdzie ty dzieuczyno myślami bładzisz?
Skaży ty praudu, kaho ty lubisz?
Oj, znaju, znaju, kago kachaju,
Tylko nie znaju z kim się zwieńczaju!

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzwały.

– Kowalicha, (kowalowa) czy co? – szepnęła żona Potra.

– Ale! – odszepnęła żona Szymona, – nikt **hetak** nie **śpiewaje**, tylko ona!

Stefanową od głowy do stóp wstrząsnęło namiętne drgnienie; przeciw zwyczajowi swemu nie rzekła nic, tylko prędko, z urągłym wyrazem w oczach, które jak zuzle zapłonęły, obejrzała się na męża. Dziwna rzecz! Stefan tak szyję wyprężył i tak całkiem podał się naprzód, jakby chciał po przez wzgórze przejrzeć i zobaczyć tę, której głos tylko uszu jego dolatywał. Przyczém, od wyprężenia mięśni, wygładziła się całkiem ciemna skóra jego twarzy i tylko czoło zmarszczone, zmięte, rzucało na nią wyraz cierpienia.

Na szczycie małego wzgórza, ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła, postać kobieca, której rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, dalej pieśń swą śpiewała:

– Oj, pojdu, pojdu w las i lasoczki,
Hdzie rozćwietajuć drobne listoczki,
Tam ja chadziła i hawaryła,
Sudzi mnie Boże...

Nagle głos śpiewającej urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od roznieconego ognia i, jak w ziemię wryta, stanęła. Teraz przy ostatnich światłach dnia i mieszających się z niemi blaskach płomienia, postać i twarz jej uwypukliły się z wyrazistością rzeźby. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształną. Z pod wysoko podniesionej siniej spódnicy, widać było silne i nagie jej nogi, bosemi stopami tonące w gęstej trawie. Oprócz siniej spódnicy, miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takim mnóstwem kwitnących ziół, że wylewały się zeń one na jej spódnicę i czepiając się wzajem, aż ku

ziemi spływały. Były to liliowe czombry i brunelki, koniczyny różowe i białe, gwiazdziste rumianki, błękitne cykorye polne. Oprócz tego, w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtej dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jęj okrywał, i że nad nim widać było tylko głowę jęj, w pół osłoniętą czerwoną chustką, z pod której, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzała szyję i wązkie gładkie czoło, wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez połysku. W pół-osłonięta kwiatami i włosami twarz jęj wydawała się grubą i pospolitą; ogorzała, rumiana, z wiśniowemi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Tak z nagiemi nogami, zaróżowionemi odbłaskiem ognia, z mnóstwem kwiatów, wylewających się z fartucha i osłaniających piersi, z rozrzuconemi włosy i błyszczącym, śmiałym, śmiejącym się spojrzeniem, stanęła ona tuż pod krzyżem, który teraz stał cały w płomiennym blasku. Piérwszy dźwięk, który z ust jęj wyszedł, brzmiał gapiowatém trochę zadziwieniem.

– Aaaa! – rzekła – co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała:

– Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potém, skinęła głową, i z zupełną już świadomością dokończyła.

– Aha! mleko u krów przepadło.

I, kołyszac głową w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu.

– Aaaa! umum! dziwy, to dziwy!

W gromadce panowało milczenie grobowe. Zdawać się mogło, że dusze wszystkich tych ludzi zlały się w tęg chwili w jednę duszę, która całą siłę swego myślenia, czucia, wzroku i słuchu, niby ostre żądło, w tęg kobietę utopiła. Wszyscy powyciągali ku niej szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia. Lecz wzrok Stefanowej rozpalony i pełen zjadliwych uśmiejchów szybko przenosił się z twarzy kobiety, stojącej pod rozplómiennionym krzyżem, na twarz męża, która szczególny przybrała wyraz; mętny uśmiejch wewnętrzny niby lubowania się rozlał się po niej całej i stał z niej całkiem zwykłą ponurość, zastępując ją głupowato wyglądającym, lecz na wskroś przenikającym go zachwyceniem. Patrzył tak, jak gdyby na coś czy na kogoś dosyć napatrzeć się nie mógł. Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu.

– Cóż? czy już przechodziła?

Nikt nie odpowiedział. W błyszczących i śmiejących się jęj źrenicach, mignął niepokój.

– Cóż? – powtórzyła – widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem, z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi.

– **Abo nie wiedajecie**, że która piérwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.

– Nu, – tonem głębokiego przekonania odparła kobieta, – żeby ja tego nie wiedziała, wiem!

To i któraz piérwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męzkie z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki odpowiedziały.

– Ty.

A w mgnieniu oka potém, niby raca, z trzaskiem wybuchając w powietrze, wybuchnął jeden niewieści głos, wszystkimi tonami namiętności, doprowadzonej do furji i żalu jakiegoś, graniczącego z rozpaczą, powtarzający w nieskończoność ten jeden wyraz. – Ty, ty, ty, ty!

Nic nad ten jeden wyraz Stefanowa wymówić nie mogła, bo trzęsa się od stop do głowy a z pałających jęj oczu, toczyły się na śniade i chude policzki strumienie łez. Śmiała się, drżała, płakała i, tupiąc nogami, wygrażając pięściami, krzyczała. – Ty! ty! ty! ty!

– Ja? – wymówiła kobieta stojąca pod rozplómiennionym krzyżem i opuściła ramiona tak, że żółte dziewanny i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jęj bosc stopy. – Ja! – powtórzyła i załamała na spodnicy ciemne, spracowane ręce. Wiśniowe jęj wargi rozwarły się szeroko, w oczach

mignęło uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jęj policzkach, po czole wążkiem i ustach rozwartych, drgać poczęło mnóstwo figlarnych, wesołych uśmiechów, aż, zwyciężywszy zdumienie i przerażenie, śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jęj piersi. Jak przedtęm pieśń, tak teraz śmiech jęj, rozleżał się po drodze i polu szeroko, dźwięcznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakształt naiwności dziecka i niezmaconęj wesołości ptaka. – Ja! ja! – wołała wśród śmiechu, – ja pięrsza na ogień przysza! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedzma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy **zdureli!** (zglupieli), czy wam pomieszalo się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięciami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

– Pfu! – zawołała – taką brzydka rzecz na chrześcijańską duszę powiedzić! Czy wam nie wstyd.

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potęm wyprostowała się i tuż koło gromadki przechodząc, rzekła jeszcze.

– Stójciez tu i czekajcie wiedzmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie ukazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tęm, co ją od nich spotkało, całkiem już zapomniała, żwawym krokiem posza drogą, wiodącą ku samotnej chacie i czerwono błyszczącej obok nięj kuźni. Idąc, zaraz w początku drogi, na skoczną, hulaszczą nutę śpiewać zaczęła najweselszą z pieśni wiejskich.

– Hili, hili, szare husi,
Szare husi na reku,
O, jak zwiazuć białe ruczki,
Nie rozwiazuć do wieku!

Ludzie pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami, w milczeniu, które pięrszy przerwał Piotr Dziurdzia.

– Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą...

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa poskoczyła i przed mężem trzymającym w objęciu dziecko, stanęła. Obu rękoma trzymając się za biodra, naprzód pochylona, z wlepionemi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymówiła:

– Wiedzma, kowalicha! wiedzma miła twoja! Wiedzma twoje serderiko najmilsze!

Zdawało się, że trzy te wykrzykniki, niby trzy policzki w twarz mu rzucala. On głowę swą ku głowie uspięnego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym, lecz ani mniej ani więcej niż zwykle. Żony jakby nie widziały i popędliwych gwizdzących słów jęj jakby nie słyszały. Sam do siebie z cicha mruknął.

– To ja już dawno wiedziały, że ona jest wiedzma!

Hoza Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i zwrócona w stronę, w którą posza kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad częms rozmyślała. Ogień niepodsypany przygasał i blaski jego spezły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie, którzy niby motyla na świecę, złapali wiedzme na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już i do domów swych odejść, nie odchodzili jednak, dumali i słuchali, jak przy drodze, wiodącej do kuźni, w wierzbach i dzikich bzach, coraz częściej jęczały i łkały lelaki. Para goniących się nietoperzy krętym lotem przemknęła nad drogą i na ściernisko upadła. Na drodze wiodącej do kuźni, rozleżył się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiecy, wyspiewujący drugą strofę skocznej pieśni.

– Hili, hili, szare husi,
Szare husi na piesok,

Paciera lata młode,
I swój tonki hałasok.

Spiewowi temu zdawały się wtórować coraz częstsze uderzenia kowalskiego młota, a przez drzwi kuźni ulatywać zaczęły w mroczną przestrzeń coraz gęstsze roje czerwonych iskier. Śpiewająca kobieta przyśpieszała kroku, a gdy niewielka przestrzeń dzieliła ją od samotnej chaty, z napełnionego jaskrawym światłem wnętrza kuźni, ozwał się mężki, basowy głos, który przy nieustającym stukaniu młota, połączył się z głosem niewieścim i donośnie wesoło zawtórował trzeciej strofie pieśni.

– Hili, hili szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacieła idźci za muž,
Ciepier siedzi i dumaj!

II

Oj, dawno już, dawno, mieszkańcy Suchej Doliny, podejrzewali Pietrusię, wnuczkę ślepiej Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez niejakiich stosunków z nieczystą siłą. Były to wprawdzie podejrzenia i przez nikogo głośno niewyrażane, ale pochodziło to tylko ztąd, że wśród niezliczonych trudów i trosk powszedniego żywota, nie zajmowano się nimi bardzo i ztąd jeszcze, że nikt nie posiadał jasných dowodów, aby Pietrusia uczyniła komukolwiek, cokolwiek złego. Niemniej, podejrzenia te, w stanie zawiązkowym wprawdzie i głuchym, istniały. A jakże-by mogły nie istnieć, skoro pewne okoliczności życia Pietrusi, jako też pewne jej postępy i cechy charakteru, wyjątkowymi były, to jest, niezupełnie takimi, jak wszystkich innych mieszkank Suchej Doliny. Te wszystkie inne, naprzykład, rodziły się w tej wiosce, przed oczyma ludzi, tak, że ludzie pamiętali ich chrzciny i dziecięce lata; następnie po wyjściu za mąż, żyły one w chatach, nie samotnie wśród pola stojących, ale rzędem przy sobie zbudowanych, tak, że w jednej wybornie widać i słycać było wszystkie sprawy i sprawki drugiej, a życie ich wpływało różnie, swarliwie lub zgodnie, pracowicie lub leniwo, dostatnio lub ubogo, jak tam już której natura była i Pan Bóg dał, ale tak jak Piotrusia, żonka Michała kowala, nie wychodziła zamąż i nie żyła żadna. Żadna też nie wiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona. Zkąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepiej babki swojej, Akseny, która przed wielu laty przywędrowała tu zkądciś z malutką wnuczką, i wtedy jeszcze ślepą nie będąc, prosiła u ludzi o pracę jak o łaskę, a otrzymawszy ją, czyli pełniąc różne służby, to u najdostatniejszych gospodarzy Suchej Doliny, to w pobliskich dworach, Pietrusię swoją na dorosłą dziewczkę wychodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się już stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko, wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeczono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

– Teraz ty duża i chwalić Boga, silna. Możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Sucha to już wtedy i bardzo stara była babina, z twarzą, która wyglądała tak, jakby ją kto z żółtawej kości wyrzeźbił, i oczyma zaszłemi jakąś białą plewą. Nos miała długi i śpiczasty, wargi tak wyschłe i żółte, że ich prawie widać nie było, czoło w tysiąc drobnych zmarszczek sfałdowane. Przyodziewek jej był tak mały, że można było uwierzyć, że zarobi nań sobie, na pamięć prędać. Samodziałowa sina spódnica, fartuch, koszula gruba i czepek z czarnej bawełnicy tak ściśle i gładko oblepiający głowę, że trochę tylko białych jak mleko włosów, wydobywając się z pod niego, otaczało jej czoło. Jakby na dowód, że to, co mówiła prawdą było, na piecu siedząc jedną rękę do kądzieli podniosła, a drugą z wrzeczionem przed siebie wyciągnęła i prząść zaczęła. Nie widziała nic a nic, ani nawet dnia od nocy rozróżnić nie mogła, jednak z pod palców jej wywijająca się nitka długa, a tak równa i cienka, że i z najlepszymi oczyma wyprząść-by tak nie łatwo. Od chwili do chwili palce ślinała i nić długą, równą, cienką snuła; w żółtej i jakby z kości wyrzeźbionej jej ręce wrzeczono kręciło się, furczało; wyschłe jej wargi zarysowały zaledwie widzialny uśmiech, a białkiem powleczone oczy zdawały się patrzeć w twarz wnuczki i mówić:

– A co? widzisz? ja choć ślepa, do niczego jeszcze nie jestem. Tylko strawę mi daj a na przyodziewek sama zarobię.

Pietrusia, siedmnastoletnia podówczas dziewczka, zdrowa i rumiana, choć jeszcze jak młoda topola cienka i wysmukła, siedziała na brzeżku pieca i oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc, że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzeczionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jej ucałowała i rzekła tylko:

– **Dobre**, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od maleńkości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Przy ostatnich wyrazach uderzyła się pięścią w piersi i zapłakała trochę, ale niedługo, bo i sama płaksiwą nie była i babka, po głowie ją pogłaskawszy zaraz, rzekła:

– Nu, **ciepierz** (teraz) do roboty **idź**. Niema czasu bzdurzyć. Piotrowa dziś **nieduża** (słaba), krów sama nie podoi i świń nie nakarmi. Idź krowy doić i świnię karmić.

Poszła i niby żwawy duch skrzętności uwijała się po zagrodzie. Była to zagroda Piotra Dziurdi, którego żonka chorowała wtedy, albo niedomagała przez lat kilka, a że córki w domu nie było i synowie pacholętami zaledwie będący, żenić się jeszcze nie mogli, więc gospodarstwem kobiecym, za strawę i przyodziewek trudniła się Aksena wprzódy, teraz trudnić się zaczęła Pietrusia. Piotr był gospodarzem dostatnim i mogącym pozwolić sobie na ten zbytek, aby chorą żonę jego, sługa zastępowała. Było to zresztą koniecznością, na której wychodził nie najgorzej. Jak wprzódy Aksena, tak teraz Pietrusia robiły wszystko, co należało, z gorliwością kobiet, które nic a nic na całej ziemi Bożej nie posiadając, ludziom, którzy coś posiadają, z całych sił zasługiwać się muszą, zasługiwały się też one, jak tylko mogły. Chata Piotra pełną była nietylko pracy niewieściej, oszczędzającej i przysparzającej dobra wszelkiego, ale i czegoś innego jeszcze, co, nie będąc do życia niezbędnym, uprzyjemnia je przecież i rozwesela. Dwie te kobiety, z których jedna bardzo starą i ślepa, druga młodzianką żwawą i wysmukłą była, napełniały mu chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Pietrusia mnóstwo pieśni. Były tam bajki i pieśni tutejszej okolicy właściwe i te, które Aksena przyniosła z sobą z tych stron dość dalekich, z których przed kilkunastu laty tu przywędrowała. Wędrowała, wędrowała przytułku i pracy szukając, aż tu przywędrowała, przytuliła się wraz z dzieckiem i wszystko co miała mieszkańcom Suchej Doliny oddała. Bajki z różnych stron pozbierane w wieczory zimowe opowiadała, a pieśni choć już sama nie śpiewała nigdy, to nauczyła ich wnuczkę swoją, której żywiołami rodzinnymi zdawały się być ruch, śmiech i śpiewanie. Zkąd u tej sieroty i tułaczki ubogiej wzięła się żywość i wesołość taka, że porównać-by ją można do ustawicznie tryskającej przejrzystej wody źródlanej? Trudno powiedzieć. Zapewne w sposób taki utworzyła ją sama natura, a wiele także znaczyło i to, że choć biedy i głodu zaznała czasem, złego obejścia się nie zaznała nigdy. Osłaniała ją przed niemi babka, ludziom zasługując się na to, aby jej nie krzywdzili, a sama za dzieckiem przepadając jak podróżujący w noc ciemną przepadał-by za jedyną gwiazdą, która-by przyświecała jego samotnej i kamienistej drodze. Wszystkich swoich na kamienistej swiej drodze, Aksena potraciła: córkę, która, urodziwszy Pietrusię, wkrótce potem umarła; zięcia, którego z tej ziemi zdmuchnęło tchnienie zarazy; męża, który z ręką zdruzgotaną w kole młocarni umarł w szpitalu; syna który poszedł do wojska, kędyś na skraj świata i nigdy już nie powrócił: rozłajdaczył się może i w turmie zgnił, albo go na wojnie zabili... Oprócz tych wszystkich swoich ludzi, straciła ona jeszcze jedną rzecz swoją: mianowicie, wioskę rodzinną, która, piaszczyste grunta mając, a łąk i pastwisk nie mając, tak ubogą była, że kawałka chleba, gdy go zapotrzebowała, dać jej nie mogła. Nie z własnej woli, ale z konieczności poszła w świat cudzy. I któż o tym wszystkiemu wiedząc, zaprzeczyć-by mógł, albo chociaż dziwić się temu, że wnuczka była dla niej tą jedyną gwiazdą, która przyświeca ciemnej i kamienistej drodze podróżnika. To też nie biła jej ona i nie łąjała nigdy. Wprawdzie, pocałunkami i pieścizotami obdarzała ją bardzo rzadko; poprostu, nie miała na nie czasu i zawsze zmęczona fizycznie, z twardymi mięskami i silnymi nerwami swymi, potrzeby ich nie czuła. Ale nie zjadła nigdy łyżki strawy, zanim wprzód wnuczki nie nakarmiła, nie kupiła sobie przyodziewku żadnego, zanim ją czysto i cało nie przyodziała; na noc brała ją z sobą na piec i sukienną derką starannie okrywała, w niedzielę i święta śpiewać ją uczyła i opowiadała jej różne dzieje o dawnych czasach i ludziach, o dalekiej stronie rodzinnej, o czartach i upiorach, zbójcach i – aniołach, które sieroty strzegą i nad niemi srebrzyste skrzydła swe rozciągają. Pietrusia czuła się otoczona skrzydłem anielskim i czasem do rówieśnic swych mówić zaczynała: – „Ona, jak ten anioł nade mną...” Lecz nigdy rozpoczętej mowy nie kończyła. Wyrazów jej brakło, czy też wstyd ją ogarniał,

że tak śmiało tajemne myśli swe wypowiadać zamierza. Milkła, powieki z długimi rzęsami na szare źrenice spuszczała i róg fartucha w palcach kręciła. Ale zmieszanie to, jak wszelkie uczucie smutne albo przykre, przemijało w niej bardzo prędko. Ani w smutku, ani w milczeniu, ani w nieruchomości długo wytrzymać nie mogła. Idąc podskakiwała zwykle, jakby ją do tańca brała ochota, pracując przyśpiewywała sobie; jedząc nawet, gadała i gadanie śmiechem przeplatała. Taką już była jój natura. Po zupełnym oślepieniu babki, na dni kilka spowolniała trochę i umilkła, ale i to jój prędko przeszło. Aksena nie skarżyła się wcale, owszem po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jój wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne, jak gdyby nie wydarzyło się jój nic osobliwego. Pietrusia, nosiła jój na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wyławiając. W ręce ślepiej, które wyciągały się po żywność i w powietrzu błądziły, łyżkę i chleb wkładała, tonem namowy mówiąc: – **Jesz** (jedz), babula, **jesz** sobie, ja miszkę potrzynam. Każdą niedzielę, z rana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do zrobienia było, z kubłem wody i grzebieniem w ręku na piec wchodziła i przez całe półgodziny, trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmata umoczoną w wodzie, myła i szorowała twarz jój tak gorliwie, że przez parę dni potem błyszcząca ona zupełnie tak, jakby wyrzeźbioną była z żółtawej i wypolerowanej kości. Potem na białe jój włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonej lub czarnej, a jeśli kiedy, w sobotę więcej niż zwykle czasu mając, suto go bawełnianą taśmą wygarnirowała lub wążutkim i błyszczącym galonikiem oszyła, to już bardzo zadowolona, z lubością przed ustrojoną tak babulą kołysała głową, językiem o podniebienie uderzając i powtarzając: – Ot jak ślicznie! oj! jak ślicznie! – Czerwonem garniowaniem, albo błyszczącym galonikiem otoczona, kościana twarz stariej, ślepem, oczyma swemi, zdawała się surowo wpatrywać w okrągłą, rumianą, roześmianą twarz wnuczki. Żółtym palcem dotykając czepca swego, stara pytała:

– A zkąd wzięłaś galonik?

– Piotr jeździł do miasta, to go prosiłam żeby kupił.

– A zkąd **hrosze** miałaś?

– Z lata jeszcze schowałam, kiedy to żać chodziłam do dworu.

Stara milkła. W głosie wnuczki słyszała szczerłość. Ale po chwili zapytywała znowu.

– A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczając, dziewczyna odpowiadała.

– A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłej niedzieli mówiła.

– Stepan Dziurdzia? – Tonem zapytania szeptała stara.

– Ale!

– A więcej kto?

– Toż ja mówiła! Michałko Kowalczuk.

– Aha! to nic... Na to ty dziewczka, żeby do ciebie **kawaliry** udawali się. Ale galonu od nich nie brałaś, ani paciórek, ani hroszy, ani nic? Nie brałaś

– Nie brałam.

– Pewno?

– Dalibóg.

– Pamiętaj. Sierotą jesteś i tylko na Bozkiej opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz, tak jak ta kropla wody w wielkiej rzece... Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy zbliżeniu się wszelakiem, raz, dwa, trzy, w pysk! **taj hodzi!** Dziewczyna powinna być jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznej wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdej niedzielę. Jedną zaś niedzielę tak do niej rzekła: – Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiedz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdej godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem i zaciekawiona Pietrusia szepnęła:

– A jakież to sposoby, babulo?

Stara po cichutku prawić poczęła.

– Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i, jak go mrówki ze wszystkiem zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się **zaharduszką**, a korzonki ma takie, jak niby to dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawiła z powagą wielką i tajemniczością niejaką, a prawiła-by była daleko dłużej, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. I przytém wstydliwie lecz razem radośnie zachichotała.

– **Hodzi**, babulo, – szepnęła, – **hodzi!** Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani **zaharduszki**, ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkiem uszy nastawiła:

– Który? – zapytała.

– A Michałko.

– Kowalczuk?

– Ale.

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

– Dobrze, – rzekła, – dobrze, czemu nie? chatynkę swoją i kawałek swojej ziemi po ojcach ma. Przytém rzemieślnik... Ajaj! Jakby było dobrze! **Kab tolko** żenił się!

– Oj, oj! – tryumfująco zadzwoniła Pietrusia, – dalibóg ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

Tak mówiąc, rozpromieniła się cała. Z młodziutkich wesołych oczu jój trysnął snop promieni, zęby jak perły błysnęły z za czerwonych warg. I wielka, niezmacona radość tak ją całą napełniała, że nie mogąc na miejscu wysiedzieć, zeskoczyła z pieca i zaczęła, po izbie kręcąc się, na całe gardło wyśpiewywać.

– Jeść u mnie mój mileńki

Wsia moja rodzina,

Jak przyjedzie on do mnie

Szczaśliwa hadzina!

Izba była pustą, bo w niedzielny ranek Piotr z Piotrową pojechali do kościoła, a chłopcy na ulicy wiejskiej z rówieśnikami hulali. Piosenka, przez Piotrusię rozpoczęta, miała drugą, trzecią i czwartą strofę, i dziewczyna prześpiewała je wszystkie, jak fryga zwijając się po izbie, stół mokrą szmatą wycierając, do pieca na gotującą się strawę zaglądając, kury nakoniec, które na środek izby powyłaziły, do ciemnych spędzając podpiecków. Kiedy nakoniec, śpiewanie dziewczyny i gdakanie kur i chrząkanie wypędzonego do sieni wieprzka umilkły, ze szczytu pieca ozwała się Aksena.

– Pietrusia!

– A co?

– **Chadzi tu.**

Wskoczyła na tapczan u pieca stojący i zapytała:

– Co, babulo?

– Ot co. Michałku, teraz dwudziesty piérwszy roczek idzie.

– Ale, – potwierdziła dziewczyna.

– To to i bieda. Jakże on z tobą ożeni się, kiedy jemu trzeba do wojska iść?

Dziewczynę uwaga ta babki przestraszyła zrazu bardzo.

– Nie może być! – krzyknęła.

Stara głową pokiwała.

– Oj dziecko z ciebie gorzkie! albo ty o tém nie wiedziała?

Co ona tam miała o jakimś wojsku wiedzieć? Ani pomyślała nigdy, że jakie wojska są na świecie. I **miły** nie mówił jój ani razu, że w **sołdaty** pójdzie, choć o tém dobrze wiedzieć musiał, ale zwyczajnie młody, kiedy lubił dziewczynę, szeptał z nią u opłotka albo i kibić jój obejmował, wtedy o tém, co będzie kiedyś, nie myślał. Stara Aksena, wiele wiadomości o świecie i doświadczenia posiadała. Czy raz już, czy raz w swém życiu widziała chłopców w **sołdaty** branych, którzy wracali nieprędko, nieprędko, a czasem tak jak i jój syn rodzony, nie wracali nigdy! Jeżeli która dziewczyna czekała na nich, rutkę przez życie całe siać była zmuszoną, bo choć powrócił który, to z inném sercem, z innemi myślami. A jeżeli ślub z nim wzięła, zanim w świat poszedł, jeszcze gorzej było, bo życie sołdatki, to już takie życie, że niech od niego Bóg święty obroni! Wszystkie te i wiele innych rzeczy, długo Aksena do ucha dziewczynie szeptała, aż Pietrusia, splótszy na twarzy ręce, rozplakała się rzewnymi łzami.

– Nu, – tonem perswazyi zaczęła babka, – to idź za Stepana Dziurdzię. I on do ciebie chętny, a gospodarz z niego dostatni. Słodkie ci życie z nim będzie.

Dziewczyna zatupała po tapczanie bosemi stopy.

– **Za niszt!** (za nic) – krzyknęła – żeby tam nie wiem co, Stepanową żonką nie będę.

– Czemu? gospodarz taki i młody i wyrośnięty jak ten dąb i **bratów** ma bogatych.

Pietrusia oczu nie odslaniała i z ruchami gwałtownej niechęci i niecierpliwości, wciąż tylko powtarzała:

– **Za niszt!** nie pójdę za niego! nie pójdę! nie pójdę!

I dopiero na gwałtowne dopytywanie się babki, niechęci swój przyczynę wyznała. Było tam raczěj przyczyn dwie.

– **Hadkij** (wstrętny) mnie on i **wielmi zapalczywyj. Bić budzie!**

Ani słowa przeciw temu Aksena powiedzieć nie mogła. Znała Stepana Dziurdzię oddawna i wiedziała, że istotnie był on gniewliwy, porywczy, łatwy do swarów i bójek. Oczy jego miewały od młodu błyski silnych i srogich namiętności, giesty były prędkie i zapalczywe, głos szorstki i gruby. Pracowitym był, roztropnym w radzie i rozmowie, upijał się bardzo rzadko, gospodarstwo miał dostatnie, a długu grosza jednego nie miał; jednak we wsi miru i powagi nie posiadał, bo opryskliwością swą, grubém łajaniem i skorą do bójki pięścią, naraził się wszystkim, a dziewczęta, to już wprost uciekały od niego, tak się go bały. Kilka razy już do chat różnych swaty posyłał i nigdzie go nie przyjęto. Dziewczęta, zanosząc się od płaczu, krzyczały w niebogłoso: – **bić budzie!** jeszcze kiedy zabije! – rzucały się do nóg rodzicom, błagając, aby nie wydawali za tego **Heroda**. Stepan wykrzykiwać począł, że nie dba o te **durne** i pośle swatów do drugiej wioski, ale w tém, w chacie stryjecznego brata jego, Piotra, Pietrusia dorosła i odtąd Stepan, na żadną inną dziewczkę ani spojrział. W nią oczy wlepił i do chaty braterskiej chodził a chodził. Przyjdzie bywało, i bez potrzeby żadnej zasiedzi się na ławie godzinę i dwie. Czasem orać trzeba, albo kosić, albo młócić a on siedzi i za dziewczyną oczyma wodzi, na krzątanie się jój i skoki patrzy, śpiewania jój słucha i gniewliwa twarz jego łagodnieje tak, że można-by ją, zda się, niby masło na chleb posmarować. Piotrowi już raz powiedział.

– Biedna ona, czy nie biedna, ja do niój swatów przyślę...

– Przybłęda, – zauważył Piotr.

– Przybłęda, czy nie przybłęda, swatów przyślę, żebym tylko u niój przychylność jaką zobaczył.

Ale przychylności dla niego w Pietrusi nie było ani śladu. Jak Stepan w nią, tak ona w Michałka Kowalczuka oczy wlepiła i tak samo jak inne dziewczęta z płaczem teraz babce mówiła.

– **Nie chaczu! Za niszt nie chaczu!** bić będzie! jeszcze kiedy zabije!

Po tém, co powiedziała jój babka o przyszłym a niezawodnym losie Michałka, wyplakała się i znowu krzątać się po chacie i śpiewać zaczęła:

– Ni tam szczaście, ni tam dola,
Hdzie bohaty ludzie,

Kto z miłości się załuczył
Tomu miłość budzie!

Przerywając sobie śpiewanie, rzekła:

– Ot, może nie pójdzie... co tam! Może Michałek w żołdacy i nie pójdzie...

Potém dodała:

– Żeby tylko dziś przyszedł...

Aksena, której może żal było, że wnuczkę do płaczu gadaniem swém doprowadziła, ozwała się z pieca:

– Rzuć wiennik do ognia.

– A na co? – zadziwiła się Pietrusia.

– Rzuć wiennik do ognia, – powtórzyła stara, – jak spalisz **wiennik**, goście będą.

Pietrusia wrzuciła w ogień starą miotłę, a gdy dnia tego Kowalczyk przyszedł istotnie do chaty Piotra, uwierzyła święcie w cudowną skuteczność tego środka i doradzała go potém wszystkim rówieśnicom swoim. I czy jedną również dziwną i jeszcze dziwniejszą rzecz Pietrusia ludziom mówiła i doradzała? O tych wszystkich rzeczach dowiedziała się od babki, a ponieważ ustawicznie trzepała językiem, niczego w tajemnicy nie zachowała i nie pomyślała nawet nigdy o tajeniu się z czémkolwiek, jednak pomimo wczesnej mądrości swój, nie odgadła raz wróżby, która tyczyła się własnej jój doli. Dnia pewnego chleb z pieca łopatą dostawała. Zazwyczaj pieczenie chleba udawało się wybornie. Doświadczone nawet gospodynie, dziwowały się zawsze doskonałości jój pieczywa, szepcząc pomiędzy sobą, że chyba jój jakaś **siła** dopomaga, kiedy tak nigdy w niczém nie chybi. Siłą tą była istotnie pilność i zręczność dziewczyny, która gdy cokolwiek robiła, to już całą duszą i dziwną zgrabnością. To téż i teraz, bochny chleba jeden po drugim ukazywały się na łopacie i z łopaty zsuwały się na stół, rumiane, pulchne, w miarę wypieczone, pachnące tak, że aż izba cała zapachniała. Dobry kęs chleba – wesele chłopca. Piotr, siedząc na ławie, z łokciami o stół opartymi, uśmiechał się w zwykły sobie sposób łagodny i poważny; wciąż jeszcze niedomagająca Piotrowa, piorąc jednak u pieca grube szmaty, z uśmiechem téż o czémś prawiała; dwaj dorastający chłopcy, hałasując, palcami pulchności chleba probowali i jedna tylko doskonała piekarka nie śmiała się i nie uśmiechała nawet. Tak ważną czynność jak wydobywanie z pieca chleba, spełniała ona zawsze z policzkami rozognionymi od gorąca, z rękawami koszuli zawiniętymi po łokieć, z wydętymi wargami i trochę nawet zmarszczoném czołem. Nagle krzyknęła:

– Aj! aj!

I ostatni bochen chleba, na stół zsunąwszy, łopatę na ziemię upuściła i ręce załamała – Oj Boże, mój Boże, – z płaczem prawie zawiodła. Piotr i Piotrowa jednocześnie szyje powyciągali, na chleb spojrzeli i jednogłośnie rzekli. – Pęknięty czy co?

Nie mylili się. Ostatni bochen chleba wyszedł z pieca na wskroś prawie pęknięty, jakby nożem na dwoje rozkrojony.

– Pęknięty, – powtórzyła Pietrusia.

Kilka sekund trwało milczenie, aż z pieca ozwał się stary głos Akseny.

– Ktoś się odłączył!

Piotrowa rękę do czoła i piersi poniosła.

– W imię Ojca i Syna... Niech Pan Bóg miłosierny... nas od wszelkiego nieszczęścia broni!

– Ktoś się odłączył! – powtórzyła stara.

– Z chaty czy ze wsi? – zapytał Piotr.

Aksena po chwili namysłu odpowiedziała:

– Może z chaty, a może i ze wsi, ale ktoś się, co kogoś w chacie Piotra Dziurdi dusznie obchodzi.

Istotnie, odłączył się od Suchej Doliny ktoś, co kogoś w chacie Piotra Dziurdi dusznie obchodził: Michał Kowalczyk los wyciągnął i ze wsi wywedrował – do wojska. Przedtém jednak,

widziano o zmroku dwoje ludzi, długo siedzących na wielkim, omszałym kamieniu, za wsią, tam gdzie drogi rozchodziły się w cztery strony świata i wznosił się stary, wysoki krzyż. Dwaj parobcy przechodzili tamtędy ze dworu, w którym najmowali się do młocarni, i odpowiedzieli w wiosce, że Pietrusia na kamieniu pod krzyżem, żegna się ze swoim Kowalcukiem. Mówili o tém, śmiejąc się na całe gardło. Zaśmiały się kobiety. – Niechaj żegna się, – mówiły, bo to już będzie na wieki wieków, amen!

Wszyscy we wsi jednogłośnie utrzymywali, że Pietrusia pożegnała się ze swoim miłym, na wieki wieków, amen. Powrócić, to powróci on tutaj pewno, bo swoją ziemię i chatę w Suchej Dolinie ma, ale aż za sześć lat, a sześć lat, to dla dziewczyny wiek. Albo za kogo innego tymczasem pójdzie, albo i zestarzeje, a Kowalcuk ją nie zechce. Gdzieby on tam za sześć lat jeszcze zechciał! Z inném sercem i z innemi myślami z dalekiego świata powróci. Nawet stara Aksena toż samo mówiła wnuczce, która jednak przecząco głową wstrząsnęła i wciąż powtarzała: – Powiedział, że jak powróci, ożeni się ze mną. Powiedział: czekaj ty na mnie, Pietrusia...

– I ty **durna** będziesz czekać?

– Będę.

Stara zaniepokoiła się bardzo; zeszcłe wargi jój i kościane policzki często odtąd poruszały się w sposób taki, jakby coś z trudnością wielką w bezzębnych dziąsłach swych przeżuwała. Kilka razy jeszcze do wnuczki rzekła:

– Idź za Stepana, może nie będzie bić, a jeżeli kiedy i wybiję, to co? Lepiej zawsze w męzowskić chacie siedzieć, jak przez całe życie na cudzém chorować.

Ale na te wszystkie perswazye i namowy Pietrusia jedną tylko miała odpowiedź:

– Nie **chaczu**, nie **pajdu**.

Piotrowa także namawiała ją, żeby za Stepana szła. – Bogaty, – mówiła – i pracowity, gospodarny, niepijący. Będiesz u niego w kupnych perkalach chodzić i sadło łyżką jeść.

Dziewczyna odpowiadała:

– Niechaj Stepanowe sadło świnie jedzą.

Te namowy, które spotykała ze stron wszystkich obudziły w niej gniew, piérwszy zapewne w życiu. Zaciskała potém usta i nie odpowiadała nic. Żeby tam nie wiadomo co mówili przed nią o Michałku i o Stepanie – milczała. Baby swoje, a ona swoje. One gadają, namawiają, użalają się nad jój głupotą, łają nawet – ona milczy; krowy bywało doi, czy szmaty pierze, czy świnie karmi, czy chleb mięsi i milczy. Uparła się. Mniemała téż zapewne, że ludzie pogadają, pogadają i w pokoju ją zostawią, pozwalając, aby sobie żyła wedle woli. I było-by to najpewniój nastąpiło, gdyby tylko Stepan odczepił się od niój. Ale on o tém ani myślał. Kilka razy chciał już objąć ją i pocałować, to na dziedzińcu, to w ogrodzie, to w oborze; zawsze jednak zdołała ona uciec od niego tak, że ani do uścisków ani do kłótni nie przyszło. Raz przecież przyszedł w niedzielę, kiedy w chacie, prócz niój i starój Akseny nie było nikogo. Ujrzawszy go we drzwiach, Pietrusia skoczyła do komory, gdzie zaczęła niby to groch z worka na wieczereź do garnka sypać, ale Stepan wnet znalazł się przy niój i, obejmując ją jedną ręką, drugą próbował zasunąć z we wnątrz drzwi komory. Przyczém wyglądał tak strasznie i tak przeraźliwie kłął dziewczynę, którą już teraz na pewno, jak mówił, w pułapkę pochwycił, że zrazu krzyknęła ona w niebogłosy i ciemno zrobiło jój się przed oczyma. W mgnieniu oka przecież odzyskała przytomność i może na pamięć przyszły jój słowa i rady babki, bo z twarzą czerwoną jak piwonia, z iskrzącemi się oczyma, zaciśniętymi usty, wyrwała się z objęć chłopa, i obie ręce w górę podniosła. Raz, dwa, trzy w pysk! **taj hodzi!** Stepan jak oparzony z komory wyskoczył, a potém i z chaty. Uczynił to głównie dla tego, że usłyszał w sieniach kroki Piotra, a świadka wstydu swego mieć nie chciał. Pietrusia w ogniu i łzach cała, upadła do kolan babki, która nakrzyk jój zsunęła się z pieca i na kiju wsparta, stała przed drzwiami komory, kościanemi szczękami gwałtownie poruszając i bielmem zaciągniętymi oczyma zdając się z natężeniem wpatrywać w przestrzeń. I teraz jednak nie wybuchnęła ona ani gniewem, ani lamentem, tylko żółte jój ręce po chwilowém błędzeniu

w powietrzu znalazły głowę wnuczki i ogarnęły ją tak jak gdyby drogi jakiś przedmiot utracony, na nowo chwyciły. Po chwili rzekła:

– Nu, Pietrusia, już nam tu niema czego popasywać... Już tobie tutaj dobrej doli nie będzie. Pokłońmy się Piotrowi, i Piotrowej żonie za chleb i za sól i gdzieindziej **mandrujemy**.

Chleb i sól Pietrusia z łatwością znalazła, bo słyneła już w okolicy całej za pracownicę wyborną. W małym, sąsiednim dworku szlacheckim, wzięto ją za folwarczną dziewczkę i pozwolono babkę trzymać przy sobie, z warunkiem, aby za strawę stara przedła dla dworu i len i weinę. W dwa dni po owej ostatecznej rekuzie, którą w postaci trzech rozgłosnych policzków Stepan Dziurdzia od ubogiej sieroty otrzymał, o samym świcie otworzyły się drzwi Piotrowej chaty i wyszła z nich Pietrusia, w krótkiej siermiężce i siniej spódnicy, w płtykach trzewikach i czerwonej chustce na głowie. Cały przyodziewek swój i babki w płóciennym worku na plecach niosła, a u piersi trzymała, owinięta w płótno przęslicę. Za nią szła ślepa Aksena, w siermiędze także, płtykach trzewikach i czarnym czepcu. Jedną ręką kijem wciąż dotykała ziemi, drugą trzymała mocno rękaw siermięgi wnuczki. Były obie jednostajnie prawie wysokie i szczupłe; wyszły z chaty Piotra i szły przez wieś wyprostowane i milczące. Nad nimi, pod wiosennym niebem, tułały się jeszcze białe mgły nocne, z obu stron stały domowstwa pozamykane i nieruchome drzewa ogrodów. Krowy nie ryczały, kury nie gdakały i psy nawet nie czekały jeszcze. Tu i owdzie tylko, około wrót otwartych, albo za niskim płotem ukazywała się wcześniej od innych zbudzona jakaś postać ludzka i, ujrzawszy te dwie kobiety w świtanu przez wieś idące, obojętnie albo z litością w głosie je pozdrawiała.

– Z Bogiem idźcie!

One jednogłośnie odpowiadały.

– Z Bogiem zostawajcie.

I szły dalej. Rumiana dziewczyna z wesołemi oczyma prostowała się i przyśpieszała kroku a do rękawa siermięgi jęj przyczepiona, stara babka dreptała za nią pośpiesznie, lecz spokojnie, w świat, którego nie widziała, wlepiając swe ślepe źrenice i dotknięcie jego czując w powiewie rannego wiatru, który do koła jęj czarnego czepca i żółtej kościanej twarzy, podnosił i strzępił białe jak mleko włosy

Co tam działo się z Pietrusią w folwarku szlacheckim, o trzy wiorsty od Suchej Doliny, mieszkańcy wsi niewiele o tém wiedzieli. Służyła i koniec. Za mąż nie szła. W rok po wyjściu jęj ze wsi Stepan Dziurdzia, formalnie i według zwyczajów wszelkich swaty do nięj posyłał. Odprawiała swatów z niczém, a Stepan potém przez cały tydzień wódkę pił w karczmie i bił się z kim popadło. Ludzie na dobre mówić już zaczęli, że dziewczka cościś mu zrobiła, kiedy tak zapomnieć jęj nie może i desperuje po nięj. Napić mu się czegoś dała, aby nigdy już od nięj nie odstał. I na co jęj to, kiedy go nie lubi i nie chce? Będąca wówczas przy życiu matka Stepana, za syna na Pietrusię rozgniewana srodze, raz rzekła. – Wiadomo. Babkę ma wiedzmę, co tylko to i wymyśla, żeby ludziom biedę jaką zrobić. Niebawem przecież Stepan ożenił się z dziewczką z sąsiedniej wioski i gadaniny ludzkie o Pietrusi ustały. Widywano ją rzadko; czasem tylko dziewczki z Suchej Doliny, idąc od żniwa lub grabienia, spotykały się z nią, gdy także szła do domu z sierpem lub grabiami i mijając dziewczynę, której lata za dwudziestówkę już przeszły, niby tak sobie, ale w rzeczy samej do nięj śpiewać zaczynały.

– Hyli, hyli szare husi,
Szare husi na Dunaj,
Nie chacieła idźci za muź
Ciepier siedzi i dumaj.

Czasem téż ktoś dawno znajomy, spostrzegłszy ją, z politowaniem głową pokiwał, albo i zażartował. – A cóż, twój Kowalczuk prędko powróci?

Nie prędko, ale powrócił i było to dla niego rzeczą konieczną, bo miał podewsią, po ojcach odziedziczoną ziemię i chatę, w której tymczasem cudzy jakiś człowiek, dzierżawca podobno, gospodarował. Dnia pewnego, w niedzielę, gruchnęła po wsi wieść o tém, że Kowalczuk powrócił już

z wojska i w swojej chacie porządek z dzierzawcą robi a wieczorem, kiedy mnóstwo ludzi rozmawiało, piło i tańczyło w karczmie, on sam ukazał się tam ale w postaci tak zmienionej, że zaledwie poznać go zdołano. Gdy wieś opuszczał suchy był jakiś, chuderlawy, na dorastające pacholę więcej niż na urodziwego mężczyznę wyglądający i tak jak wszyscy chłopci w Suchej Dolinie, ubierający się w sukienną siermięgę, albo kapotę z siniego czy czerwonego płótna. Teraz gdzie! Lata wojskowych ćwiczeń i marszów rozszerzyły mu ramiona i piersi, a twarz wprzód błądą, oblały zdrową, głęboką śniadością, zmęźniał i wyprostował się; czarny wąs urósł mu nad wargami, oczy patrzyły śmiało i roztropnie a miał na sobie nie siermięgę i nie kapotę, ale surdut z ciemnego sukna, porządne buty na nogach a na szyi jaskrawą chustkę. W tém ubraniu z papierosem w ręku, zjawił się w karczmie a ze stron wszystkich witany i podziwiany, wszystkich nawzajem poznawać i witać zaczął. Od razu poznać można było po nim, że dużo świata widział, porozumniał, wygrzeczniał, ale do wioski swojej z radością powracał. Dawnym znajomym garniec wódki zafundował i sam parę kruczków wypił, ale więcej to już za nic nie chciał. Papierosy palił, rozprawiał, o szerokim świecie rozpowiadał i, pomiędzy tańczących wmieszawszy się, z dziewczętami **miecielice** i **kruciela** tak zawzięcie i zgrabnie wywijał, jak gdyby był nigdy ze wsi nie wyjeżdżał. Na środku karczemnej izby wznosiły się takie chmury pyłu, że mętnie tylko rozróżnić w nich można było ciężkie postacie tańczących parobków i pstrą odzież dziewcząt. Ale Kowalczuka każdy mógłby zaraz wyróżnić w tej gromadzie, wirującej wśród gęstej kurzawy, nietylko po ciemnym surducie i jaskrawej chustce na szyi, ale najbardziej po zręczności i gipkości ruchów. On to z największą fantazyą wykrzykiwał w tańcu: hu, ha! i po kilkudziesięciu obrotach **miecielicy** z najbardziej zamaszystą gracyą, zdyszana swą tancerkę dokoła izby oprowadzał. Ze wszystkimi dziewczętami żartobliwe kłótnie porozpoczynał, ze wszystkimi choć raz przetańczył, w oczy każdej zajrzał, jedną nawet wstydliwie od niego uciekającą, pomiędzy piecem a drzwiami schwycił i wycałował – a o Pietrusi ani wspomniał, ani się o nią u kogokolwiek zapytał. Przypomniały mu ją starsze kobiety, które, go wprost z pomiędzy tańczących porwawszy ścisłym kołem obstały i języki porozpuszczały. Tak i tak, z Pietrusią było, mówiły, tak i tak. To i to działo się pomiędzy nią a Stepanem, to i to doradzali jej ludzie, tam i tam poszła, tak i tak dogryzają jej czasem i śmieszne pieśni do niej śpiewają. Kowalczuk słuchał babskiego gadania i śmiał się tak, że aż mu z pod czarnego wąsa białe zęby błyskały, że aż gruby śmiech jego przygłuszał babskie gadanie, ale nie mówił nic. Ani o Pietrusi, ani a swoich zamiarach nie powiedział jednego słowa i, poczęstowawszy baby wódką i sérem, znowu tańczyć i hulać zaczął jeszcze sierzściściej niż wprzód. Wtedy, jasno zrobiło się wszystkim, że on już o Pietrusi ani myśli. – Z inném sercem i z innemi myślami powrócił, powiadano. Inni dodawali. – Gdzie jemu teraz o niej myśleć. Przybłęda ona i tyle tylko, że koszulinę jaką na grzbiecie ma, a już i stara z niej dziewczka, ot chyba już jej dwudziesty czwarty roczek idzie. On by mógł teraz ożenić się i z panienką jaką...

Może ci, którzy tak utrzymywali nie mylili się wcale, może istotnie Kowalczuk nie myślał już o Pietrusi i upłynione lata, zaznane wrażenia, zatarły w nim pamięć o dziewczynie i przyrzeczeniach, które po sobie jej pozostawił. Przez dwa tygodnie ani widział jej, ani starał się zobaczyć. Powiadano, że ze swoim dzierzawcą wciąż porządek robił, co właściwie znaczyło, że wyprawiał go z chaty, nie bez głośnych kłótni i pretensyi o zrujnowanie gospodarstwa, z którymi nawet do sądów poszedł. Widać było od razu, że zamierzał porządnie rękawy zawinać do pracy, nietylko rolnej ale i kowalskiej, oświadczył bowiem gromadzie, że tak jak dziad i ojciec jego kowalstwem się tu trudnili, tak i on trudnić się niém będzie, czyja więc łaska niechaj do kuźni jego przybywa. W parę tygodni dopiero po swym powrocie, w gorący dzień letni, poszedł sobie drogą, het, daleko, pomiędzy szerokie pola. W białym, płóciennym surducie i wojskowej czapce na głowie, szedł widać bez celu, zwolna, papierosa palił i z fantazyą przeginał się trochę w obie strony, zwyczajnie jak kawaler dostatni, rozumu swego świadom i którego o nic głowa nie boli... Tak zaszedł aż za brzozowy lasek, jedno z okolicznych wzgórz obrastający, a za którym leżała szmata pola, dojrzałem zbożem okryta. Dziś właśnie, zboże to żąć zaczęto; kilkanaście żniwiarek pochylało się nad złocistą falą, która w miarę poruszania się ich rąk, zdawała się do stop im się skłaniać, Kowalczuk stanął u skraju lasku i patrzył na jedną ze

żniwiarek, która, wyprostowawszy się podjęła w ramionach wielki snop żyta i kilka kroków uszedłszy, rzuciła go tam, gdzie wiele już innych snopów leżało. Potem, sierpem w powietrzu błysnąwszy, pochyliła się znowu i żąć zaczęła; żnąc zbliżała się coraz ku temu miejscu, na którym stał Kowalczuk, ale głowy nie podnosiła wcale i tylko ręce jej poruszały się prędko, coraz prędzej, krzesząc sierpem tuż nad ziemią stalowe błyskawice, Kowalczuk usta trochę otworzył i w tę żniwiarkę wpatrywał się jak w tęczę, papieros niedopalony za siebie rzucił i ręce na piersi skrzyżował. U skraju lasku, pomiędzy brzozami, stał jak słup i pod czarnym wąsem uśmiechać się zaczął. Dostrzegł wyraźnie, że zbliżająca się ku niemu żniwiarka, jakkolwiek schylona, doskonale wiedziała, że on tam stoi; zerkała czasem na niego z pod powiek, ale nie odezwała się ani słówkiem i głowy nie podnosiła, owszem, coraz prędzej i zapalczywiej żęła. Kiedy nakoniec o kilka kroków tylko znalazła się od niego, Kowalczuk odezwał się sam:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.